

[21] Abram Morewski

„PRAWOŻITIELSTWO”
Fragmenty wspomnień aktora – Żyda.

Pierwszy popis naszej szkoły zrobił furorę i zaczęto przebąkiwać o tym, że powiezie się cały program – do cesarza, do Carskiego Sioła...¹⁰⁵

Zależało na tym głównie Arbatowowi, gdyż wprost ze skóry wyłaził, by dostać się do imperatorskiego teatru jako reżyser...

Dopomagał mu w tym Bielajew.

Zacząto wszystkich wypytywać, przebierać itd. Mnie zrobiło się niewyraźnie na duszy, albowiem moje świadectwo „prikaczcika wtoroj gildii”¹⁰⁶ dawało mi „prawo zamieszkania” wyłącznie w celach handlowych, a tu nagle może się wykryć, że wcale nie handluję... Nawet w szkole może mi to zaszkodzić.

Zaś do Carskiego Sioła tak czy owak nie pojedę: nie dopuszczą mnie.

Mijał dzień po dniu bez rezultatu i mnie zaczęło się wydawać, że to przeze mnie wyjazd nie dochodzi do skutku. Zapewne są na tyle delikatni, że nie chcą mnie obrazić lub zasmucić i nie wiedzą wobec tego co począć.

Więc napisałem do Arbatowa list:

Proponowałem mu postąpić tak jak wymagał tego wzgląd na dobro szkoły i jeden tylko postawiłem – cokolwiek sentymentalny – warunek:

– By zaś nie zapomnieli o mnie „Gdy zasiądziecie wszyscy przy stole, by cieszyć się i ucztować, pozostawcie krzesło jedno nie zajęte i pamiętajcie, że to miejsce Menakera...”.

W parę dni potem Arbatow wezwał mnie do pokoju nauczycielskiego, ścisnął gorąco moje ręce, mówił, że „List będzie wydrukowany”. Bardzo byłem rad, nie rozumiałem jednak jego zbytniego wylania.

Obecnie myślę, że obawiali się tam opinii kół postępowych, z którymi sądzili, że jestem związany, jako człowiek „dzierzący pióro w dłoni”.

– Menaker, chcę wam podziękować za to, że daliście nam wolną rękę. Jestem waszym dłużnikiem; odwdzięczę się czym będę mógł, kiedykolwiek tego zażądacie.

– Żadnego długu, Jerzy Dmitriewiczu; tylko o tym jednym warunku moim pamiętajcie. Nie obsadzać mego miejsca w gronie kolegów.

– Bądź pan spokojny, przyjacielu.

[22] Jak zaś on – i oni wszyscy – dotrzykali słowa, wkrótce się czytelnik dowie.

¹⁰⁵ Carskie Sioło – rezydencja carów, położona w odległości ok. 25 km od Petersburga.

¹⁰⁶ Subiekta drugiej gildii (ros.).

* *
*

14 października wybrałem się na oglądanie zimowego pałacu. Przed wejściem trzeba było okazać dokumenty.

Żandarm, o oczach jak para reflektorów, rzekł patrząc mi w twarz i trzymając w ręku mój paszport:

- Jutro upływa pański termin opuszczenia stolicy: ma pan stanąć do poboru.
- Jutro wyjeżdżam, chcę więc dziś obejrzyć pałac zimowy.
- Proszę. Do trzeciej po południu.

Zdążyłem obejrzyć jeden z najwspanialszych gmachów świata i w parę dni później opuściłem Petersburg i zakończyłem pierwszy okres mego pobytu w szkole, mając do zanotowania kilka znaczniejszych etapów na drodze do mego celu życiowego.

* *
*

Stawienie się do poboru powinno było trwać tylko kilka dni. Miałem niewątpliwie prawo do zwolnienia jako naprawdę jedyny syn i jedyne dziecko swoich rodziców.

Historia ta trwała jednak 6 tygodni, albowiem zupełnie bez żadnego „ale” się nie obeszło. Okazało się, że „przeniesiono” mnie do innego miasta, mniejszego od Wilna, stwarzając pozór, że mieszkam tam od 3-ech lat i tam stawić się mam do poboru.

– Po co? – zapyta się ktoś naiwny. Cały ten wybieg służyć miał dla uniknięcia okupu, który rodzice moi mimo wszystko musieliby byli zapłacić, jeżeli nie carskiej komisji to – żydowskim „nowobrańcom” [z] rodzimego miasta.

I tak zawrócono mi głowę „matactwami” i trzymano przez 5 tygodni „w strachu” i nudach w obcym mieście...

Ma się rozumieć, że w domu mieli ze mnie bardzo słabą pociechę. Z całych sił rwałem się z powrotem do Petersburga.

A tymczasem w szkole zaszły wielkie zmiany.

Arbatow przeniósł widowisko popisowe z całym programem na scenę Małego teatru Suworina.

W mojej roli „Starego Bojana” [23] występował – Misza Czechow...

Otrzymałem o tym od niego list w Wilnie, ze wszystkimi szczegółami. Chętnie bym go nawet tutaj zacytował, pozostał on jednak razem z numerem gazety, zawierającym pierwsze moje foto w roli Bojana – w archiwum pozostałym w 1918 r. w Aleksandrowsku.

Wierzyłem w to, że po przyjeździe do Petersburga otrzymam z powrotem moją rolę.

Przyjechałem z początkiem grudnia i ku wielkiej mojej radości dowiedziałem się, że zaraz nazajutrz idzie znowu nasz program.

Starego Bojana grał jednak dalej Czechow...

Ja „grałem” jakiegoś wojownika, który zgodnie z akcją (nie pamiętam już nazwy ani treści owej sztuki) spada z muru twierdzy do rowu i leży już tam – jaki dobry kwadrans – aż do końca aktu.

Pamiętam, że leżąc tak „zabity” odezwałem się do mego również „martwego” sąsiada (również Żyda), studenta Kusznira:

– Bodajby ich ogień spalił! Skoro już mam tak leżeć, to niechby mi dali tak leżeć do jutra. Dopiero przyjechałem, nie mam pieniędzy na mieszkanie, muszę spać u znajomego, a stróż mnie tam pewnie nie wpuści.

Mój „martwy” sąsiad, towarzysz broni, roześmiał się tak głośno, że o mało nie zniweczył iluzji zastrzelonej załogi zdobytej twierdzy.

Gdyśmy się potem w garderobie przebierali, Ignatow rzucił swoim bystrym okiem na naszą bieliznę.

– Ładne pludry¹⁰⁷ nosicie, Żydkowie. Nasz brat nie ma takich.

– Menaker, dałbyś mu ze dwie koszule za jego „prawo zamieszkania” – co?

– Trzy, sześć...

– Zrobione – krzyknął Ignatow – Dawaj tu jedną, zamienimy się. Co mam ci dać. Moje „prawo zamieszkania”. Na diabła mi ono. Bierz, pokaż tu koszulę, nuże...

– Idioci! – wmieszał się wiecznie poważny i zamyślony Strenkowski – Tyle gadać. Czyż to kupon na golenie – prawo zamieszkania? Czy to można komuś oddać, ustąpić? Pytam się ciebie? A ty czego rechoczesz? – rozkrzyczał się na Kusznira, który brał się za boki ze śmiechu. Masz ładne koszule, to ciesz się nimi, a nie drażnij niczyjej nagości, bankierska gęba jedna!

– A ty też nie możesz pożyczyć Abraszy swego prawa zamieszkania? – [24] odezwał się Ignatow. Żyd, psiakrew, a pomóc jeden drugiemu nie chce.

Tymczasem Kusznir pomógł mi owej nocy. Poszedł ze mną i odprowadził mnie do domu. Przez całą drogę martwiłem się, jak też dostanę się do bramy. Nagle wpadłem na pewien pomysł.

– Kusznir – powiadam – wiesz, że Bielajew zobowiązał mi się czymś odwdzięczyć. Może bym się tak teraz zwrócił do niego. Miejsce moje obsadzili, warunko mego i swojej obietnicy nie dotrzykali, ale o jedną rzecz mógłbym go poprosić...

– O łóżko do spania?

– Głupi, przecież u jego bramy stoi także stróż...

– A więc o co?

– Niechaj zajmie miejsce stróża w bramie przez ten cały czas, jak długo nie będę miał prawa zamieszkania – i niechaj wpuszcza mnie bez pytania: „dokąd” i „do kogo”.

Mój kolega roześmiał się. Podeszliśmy do domu przy ulicy Sadowej 32.

¹⁰⁷ Pludry (z niem. Pluderhosen), krótkie spodnie z bufiastymi nogawkami, część dawnego stroju dworskiego.

– Czekaj, Kuszniar, stań sobie cokolwiek dalej. Gdyby mnie zaczął zanadto wypytywać, odwołaj go.

Podszedłem do bramy. Stróż – „mładszej dwornik” nazywało się to w Petersburgu – drzemał w swym kozuchu, siedząc na stołku z głową opartą o bramę.

– Otwórzcie!

– Słucham, w tej sekundzie.

Otworzył bramę, oprzytomniał nieco ze snu i patrzy na mnie.

– Do kogo Pan pozwoli?

– Na trzecie piętro.

Kuszniar postanowił się wmieszać.

– Hej, przyjacielu – zaczął wołać z daleka do stróża – czy nie masz czasem zapaleczki do papierosa? Dostaniesz za to papierosa.

– W tej chwileczce, wasze błogorodje¹⁰⁸ – otrząsa się chłopisko z resztek snu i biegnie po papierosa, szukając w szerokich kieszeniach zapalek.

Ja nie czekałem póki on wróci i zaczęnie mnie dalej indagować. Wbiegłem do bramy i zatrzasnąłem szybko furtkę.

Tak to męczyłem i dręczyłem się przez długi, długi szereg nocy i wreszcie nie dociągnąwszy do końca roku szkolnego wyjechałem do Dorpatu¹⁰⁹ zdawać egzamin na pomocnika aptekarskiego...

[25] Abram Morewski

KŁAMSTWA, CZYLI HISTORIA O TYM JAK STAŁEM SIĘ POMOCNIKIEM APTEKARZA.

Fragmenty wspomnień aktora – Żyda.

I.

Znana artystka odpowiedziała mi pewnego razu na moją uwagę, że jej nie wierzę:

– Nie kłamię nigdy, chyba, że muszę...

W tej „zasadzie” leży głębszy sens. Wielu ludzi kłamie tak sobie, bez zasad, często nawet wówczas, gdy im to szkodę przynosi. To są, że tak powiem, kłamcy rasowi.

U innych kłamstwo jest tylko najwygodniejszym środkiem dla chwilowego ratowania sytuacji.

¹⁰⁸ Wasza Wielmożność (ros.).

¹⁰⁹ Tartu (pierwotnie Dorpat, w latach 1893–1920 Jurjew), miasto w Estonii, uznawane za intelektualną i kulturalną stolicę kraju. Uniwersytet w Tartu przyjmował studentów żydowskich od połowy XIX w. i przyciągał Żydów z całego Imperium Rosyjskiego.

Niektórzy zaś kłamią tylko, gdy „muszą” i to jest już pierwszym krokiem do prawdomówności. Cała kwestia tylko w tym, kiedy mus taki zachodzi.

Na przykład, przy egzaminie na pomocnika aptekarskiego... I jakież tu, proszę Cię, drogi czytelniku, mogą zachodzić dylematy i kolizje?

A jednak, gdy przyjechałem do Dorpatu i stanąłem przez egzaminem na pomocnika aptekarskiego, ze wszystkimi jego szczegółami i szczegółikami, ujrzałem nagle przed sobą coś jakby górę – śliską, stromą górę, której przebycie zaczęło mi się wydawać rzeczą niemożliwą.

Przyczyny ku temu były rozmaite, główną jednak i bodaj jedynie istotną było – k ł a m s t w o.

Blaga, którą ktoś z zewnątrz, dzierżący w swym ręku klucze do m e g o swobodnego rozwoju narzucił mi jako warunek „możności oddychania”.

Sprawa była „prosta”. Chodziło o „prawo pobytu” w Petersburgu i możliwość uczęszczania do szkoły dramatycznej... Najniższy bodaj stopień naukowy dawał już Żydowi prawo, i wobec tego miałem się w najbliższej przyszłości stać... prowizorem.

Dla rodziców moich było to wyjście bądź co bądź nieskończenie lepsze od... chrztu. Dla mnie – niezupełnie.

Nie zgodziłbym się nigdy na chrzest, dlatego tylko, że tak chce Pobiedenscew¹¹⁰.

Byłby to całus złożony nahajowi.

[26] I tu występuje paradoks, którego może czytelnik ze mną nie podzieli. Tak jednak czułem.

Chrzcić się – Nie? A dlaczego zdawać egzamin aptekarski – tak? Dlatego, że ojciec i matka nie mają nic przeciwko temu, że nie będą płakać? Jest to istotnie argument i argument ten doprowadził mnie do progów dorpackiego uniwersytetu. Na tym progu jednak ożyły na nowo wszystkie wątpliwości, a wśród nich najważniejsza.

Brak mej własnej zgody na to co miałem tu czynić.

Zbierałem się wszak tu zatańczyć na rozkaz nienawistnego obłądu mieniącego siebie „prawem” lub „przejściową normą”.

Nie chcę.

I jeszcze jedno. Wnikając nieco głębiej w istotę sprawy, widzę przed sobą okropny obraz.

Uniwersytet, przybytek trudu ludzkiego, wiekowego zmagania się z zagadnieniami myśli badawczej.

I co ja tu robię? Przybyłem z ulicy z kłamstwem na ustach. Przybyłem, by oszukać te ściany, tych ludzi, by zakpić z siwych głów profesorów z głębokimi

¹¹⁰ Chodzi o Konstantina Pobiedonoscewa (1827–1907), rosyjskiego prawnika i polityka, oberprokuratora Świętobliwego Synodu Rządzącego (1880–1905), zwolennika unifikacji społeczeństwa Imperium Rosyjskiego wokół kultury rosyjskiej, opartej na prawosławiu.

bruzdami na wysokich, mądrych czołach. By wyłudzić podpis i pieczęć na dyplomie – „pomocnika aptekarskiego”. I niechaj to będzie stopień najniższy, ale przecież stopień naukowy...

Stopień, który mi nie przysługuje, który będzie kłamstwem i jeszcze raz kłamstwem.

W pewnej dyskusji o wychrztach wołałem, że prędzej zgodziłbym się na podeptanie mojej własnej wiary dlatego właśnie, że jest moją, że większą jednak podłością jest zdeptanie i poniewieranie obcej religii, obcego kościoła dla celów własnej kariery życiowej.

A czy to co zamierzałem teraz zrobić, czy zdeptanie dobrej wiary profesorów i godności uniwersytetu, podpadało pod inną klasyfikację postępowania?

A teraz jeszcze jedna kwestia.

Gdyby mi ktoś powiedział był: wsiądź do wagonu, przejedź się do Szwajcarii, wykąp się tam w jednym z jej jezior i w ten sposób zdobędziesz swoje „prawo zamieszkania” – nie wiem jakbym przyjął podobną propozycję. Prawdopodobnie z oburzeniem i wstrętem.

W naszym wypadku musiałem się jednak zabrać do znieawidzonej [27] b o t a n i k i, która napsuła mi już dosyć krwi w mych latach dziecińczych, a przed trzema laty stała się nawet powodem porzucenia przeze mnie szkoły średniej.

Tak filozofując przesiadywałem wczesną wiosną przy oknie po 5 do 9 godzin dziennie studiując zielniki botaniczne. Pąki na drzewach nabrzmiewały życiem, ptaki szczebiotały pieśni przebudzenia. Patrzyłem na wiosenne obłoki sunące po niebie, a serce moje uderzało zgodnie z rytmem drzew kołysanych ciepłym powiewem.

Dorpat był o tej porze roku prześliczny. Miasto to było dla mnie z dawna obiektem gorącej tęsknoty, a to dzięki temu, że mieszkał tu jeden z moich wujów, posiadający ośmiu synów umiających skutecznie rozpraszać chmury mojej jedyńskiej samotności. Teraz siedziałem jednak całymi dniami z książką przy oknie.

A moja botanika ani rusz z miejsca...

I tak biegły dni, mnożyły się tygodnie, w moim sercu śmiała się wiosna i płała – „kłamstwo”, egzamin.

Ciemny i ponury był mój świat.

[28] Abram Morewski

KŁAMSTWA, CZYLI HISTORIA O TYM JAK STAŁEM SIĘ POMOCNIKIEM APTEKARZA.

Fragmenty wspomnień aktora – Żyda.

II.

Pewnego razu powziąłem postanowienie. Postanowiłem zwrócić się do Kondakowa, profesora egzaminującego farmaceutów i opowiedzieć mu prawdę. Napisałem odpowiedni list i pokazałem go jednemu z moich starszych kuzynów, mieszkających w Dorpacie.

Kuzyn, student, znał dobrze Kondakowa i od razu wybuchnął:

– Idioto! Że sam z tego nic nie będziesz miał, to twoja rzecz. Skoro zwariowałeś – pal cię wszyscy diabli, że jednak Kondakow zrobiłby z tego skandal i spalił wszystkich Żydów przy egzaminie, to pewne.

Szkodzić innym w popełnieniu kłamstwa, które „musieli” popełniać, nie miałem zamiaru, a że Kondakow jest judofobem i zakutym „czynownikiem”¹¹¹ o tym słyszałem już przed tym. List mój powędrował wtedy do archiwum „listów, które nie doszły”, a ja sam kułem w dalszym ciągu botanikę i studiowałem zielniki. Na całkowite milczenie jednak bądź co bądź się nie zdobyłem i w końcu zwierzyłem się przed asystentem Kondakowa, Szkworcowem, u którego cała grupa farmaceutów przygotowywała się do egzaminu.

Oświadczyłem mu, że czuję do egzaminu podwójny wstręt. Po pierwsze z tego powodu, że ubiegam się o dyplom nie mając zamiaru zeń skorzystać. Po wtóre, bo nie wierzę w to, że uda mi się egzamin zdać. Prosiłem go, by mi oświadczył krótko i węzłowo, czy mam się dalej uczyć, czy też porzucić z miejsca tę komedię, której mam już po same uszy.

Odpowiedź jego była zgoła nieoczekiwana.

Po lekcji, gdy wszyscy odeszli kazał mi pozostać i powiada do mnie:

– Dziwię się panu mocno. Zasadniczą stroną pańskiego stanowiska mogę zrozumieć, chociaż kogo to właściwie może coś obchodzić, co pan robi ze sobą mając dyplom w kieszeni. Co się zaś tyczy egzaminu, to ten jest zawsze grą w ślepo, nikt nigdy nie może przewidzieć na pewno co nastąpi. Ale – dodał ku mojemu głębokiemu zdumieniu – pod tym względem pan ma więcej szans niż którykolwiek z całej grupy. Dlatego mianowicie, niech to pana nie dziwi tak bardzo – dlatego, że władza pan tak świetnie rosyjskim językiem. [29] Kondakow jest trochę głuchy i za pańską doskonałą dykcją przebaczy panu chętnie parę ewentualnych błędów fachowych.

¹¹¹ Czynownicy – wywodzący się ze szlachty urzędnicy państwowi w Rosji za czasów cara Piotra I, zobowiązani do dożywotniej służby w administracji.

I rzeczywiście zdałem egzamin, a to dzięki temu, że po prostu „wpadłem w rolę” farmaceuty...

Przy oznaczaniu ziół leczniczych, które straciły już dawno woń i barwę i których najbieglejszy farmaceuta by nie rozpoznał, gdyby nie to, że na noc przed egzaminem przekupiliśmy woźnego i obejrzelśmy przygotowane okazy, utkwilem w Kondakowie parę oczu tak dzikich, że głuchy uczoney poprzestał na moim opisie tego jak rośnie opium i zatrzymał mnie w rozpędzie:

– Ta kwestia nie decyduje jeszcze o pańskich umiejętnościach. Proszę mi teraz powiedzieć, co to jest?

Popatrzyłem, zgałęm i zwyciężyłem.

Na koniec podał mi zapisaną receptę i rzekł:

– Proszę to głośno przeczytać i powiedzieć mi, czy można tę receptę sporządzić i wydać klientowi.

Moja intuicja odbyła szybką naradę z rozsądkiem i po chwili wypaliłem:

– Sporządzić tak – panie profesorze, ale przed wydaniem trzeba raz jeszcze przepytac lekarza.

– Bardzo słusznie... a dlaczego?

Moje oczy stały się znowu dzikie, ale tym razem naprawdę, bez udawania, bo moje „prawo pobytu” zawisło na włosku.

– Dlaczego? – pyta Kondakow.

– Przed wydaniem recepty klientowi należy posłać go do lekarza.

– Ale dlaczego?

– Albo należy mu zatelefonować.

– Czego brak w tej receptce? – nie daje mi Kondakow spokoju.

– Często się zdarza – peroruję na ślepo – że lekarz będąc roztargniony z powodu przepracowania, zapomina w receptce dodać pewien szczegół... I ocieram pot z czoła.

– Bardzo słusznie... a co tu brakuje?

– Tu także brak takiego szczegółu – wyjąkałem, wskazując palcem na dolną część recepty i czując, że jestem zgubiony.

Ale Kondakow wstydził się widocznie przyznać do tego, że przy takiej dykcji czegoś nie dosłyszał i zawołał:

[30] – Brawo! Słusznie: brakuje dozacji. Kwantum jest podane, ale jak często i w jakich ilościach należy lek zażywać, o tym zapomniano zaznaczyć i o to trzeba raz jeszcze zapytać.

– Telefonicznie lub przez posłańca – zagrzmiałem na nowo.

– Telefonicznie lub przez posłańca – delektował się profesor – farmaceuta z takim językiem rosyjskim...

... Z rozkazu Jego Imperatorskiej Mości zostałem zaliczony w poczet pomocników aptekarskich i otrzymałem dyplom jurjewskiego uniwersytetu. Radość moja

nie miała granic. Wyszędłszy na ulicę usiadłem po prostu z mostu na bruku, gdzie jeżdżą furgony i rzekłem:

– Moja ulica. Koniowi wolno jechać, mnie wolno siedzieć, chodzić, stać, biegać... Nie potrzeba więcej nocować w coraz innym mieszkaniu, kręcić, wykręcać się. Jednym większym kłamstwem okupiłem setki małych kłamstewek i zbliżyłem się o krok do mego „przybytku” – dramatycznej szkoły teatralnej.

* *
*

Tak radośnie pachnie wieczór wiosenny i śpiewa swą pieśń szumiącą rzeka. Dziesiątki łódek suną po wodzie. Śpiew, śmiech.

Studenci, wszędzie studenci, miasto studentów.

Czym dziś jestem dla nich?

Ich Gościem!

Wyrzekłem w ich murach pierwsze kłamstwo.

Musiałem! Naprawdę musiałem! Jakżeby inaczej. To boli. Pocieszymy się.

Gaudeamus igitu[r]

Iuvenes dum sumus¹¹².

[31] Abram Morewski

JEDYNACY

Fragmenty wspomnień aktora – Żyda.

Jak wielki być może na świecie procent jedynaków?

Grozi mi niebezpieczeństwo, że rozdział niniejszy zrozumiany zostanie tylko przez nieznaną mniejszość czytelników. Niech się jednak dzieje co chce. Trzebaż by na koniec wypowiedzieć się trochę i w kwestii jedynactwa...

Klubu jedynaków, o ile mi wiadomo, nigdzie na razie nie ma. Związek zawodowy dla ochrony ich „ogólnych interesów” również nie istnieje. I nie ma nawet, jak daleko sięgają me wszechstronne informacje, czasopisma poświęconego jedynakom, a wychodzącego w esperanto lub jakimkolwiek innym języku światowym. I tak członkowie wspólnoty jedynackiej rozsiani i rozproszeni są po świecie i nie tworzą zorganizowanego czynnika, zdolnego odegrać odpowiednią rolę w potężnych wysiłkach współczesnej ludzkości i w jej walkach o postęp, emancypację i wyzwolenie.

Jedynactwo stanowi taką sobie przypadłość indywidualizmu, zupełnie osobliwą, a tym się odznaczającą, że jeden jego casus podobny jest do drugiego.

¹¹² „Radujmy się więc, dopókiśmy młodzi!” Fragment *Gaudeamus igitur*, pieśni studenckiej powstałej w XIII lub XIV w.

I jeżeli Piotr Struve¹¹³ dzisiejszy monarchista, onegdajszy marksista – powiedzieć mógł, co prawda w okresie najsurowszego marksizmu, że jednostka jest „mało ważną drobnostką”; jakież, pożał się boże, znaczenie mieć może, wśród potężnej większości j e d n o s t e k wyraz jedna spośród kilku czy kilkudziesięciu tysięcy j e d y n a k ó w?

A jak powiada Hamlet o Fortinbrasie?

„Dla małego skrawka ziemi położył on trupem tylu ludzi, że nie starczy jej dla nich na grób”¹¹⁴.

– Dzisiejsze medytacje moje przeznaczone są dla tak małej ilości czytelników, że szkoda może tego papieru, atramentu i druku...

Ale, nie zawsze przecież pisze się dla kogoś...

Niechajże mi będzie dozwolone pisać raz trochę – dla siebie.

* *
*

Moje „niedające się opisać”, ale przecież w poprzednich rozdziałach [32] opisane cierpienia, które znosić musiałem podczas pierwszej zimy mego pobytu w szkole teatralnej Surowina – zwilżyły, jak czytelnikowi wiadomo, niejednokrotnie moje oko rosą łzy niemieckiej...

Teraz, w tym rozdziale przeznaczonym „dla siebie” muszę wrócić raz jeszcze do owych słonych kropelek i rzec muszę, że serce moje ubolewało nie tyle nad sobą, ile – nad moją matką...

Tyle sił, tyle tkliwości wkłada matka w osobę jedynaka, omal go nie roztopi w gorących promieniach macierzyńskiego serca.

A potem przychodzi byle złośliwiec i zaćmiewa światło jego dni, zatruwa jego życie, przemienia w męczarnię każdą jego chwilę i godzinę.

W niwecz obrócone zostają wszystkie wysiłki matki, lata całe nieustannej tęsknoty, cierpienia i radości, starań i trosk i znowu nadziei...

I pewnego razu, pamiętam, jak wśród poczucia bezbronności wobec brutalnego traktowania podniósł się we mnie ostry prąd protestu – w imieniu matki.

Gdybyż to ona widziała jak Janow depce bezkarnie zielone grzędy życiowe jej syna, co by rzekła na to?

Tymczasem nie ma jej, a ja nie mam dość sił by obronić jej „pociechę”, jej cześć i dumę.

I – stąd... stąd – łzy.

Tak wyglądało moje „jedynactwo”...

O ile to przemawia do serca synów w ogóle – niekoniecznie jedynaków – którzy odczuwać mogą ból bezbronnej tkliwości dla dalekiej matki – wówczas to co

¹¹³ Piotr B. Struve (1870–1944), polityk i publicysta. Jeden z przywódców liberalnej Partii Konstytucyjno-Demokratycznej, działającej w Imperium Rosyjskim w latach 1905–1917.

¹¹⁴ William Szekspir, *Hamlet*, akt IV, sc. IV.

napisałem znajdzie rezonans. Albowiem w rozdziale tym słowo, „jedynacy” jest tylko t y t u ł e m, odrobiną beletrystycznej przyprawy, zaś treścią i celem jego jest – zostać po ludzku zrozumianym, po żydowsku odczutym...

Latem 1908 roku wyjechałem wraz z matką i moją młodszą żoną do Wiednia dla leczenia chorego gardła. Lekarzem moim był słynny specjalista Hajek, w którego matka moja wierzyła, jak w pana boga, albowiem przed laty operował ją samą z dobrym skutkiem, ustaliwszy chorobę nosa, tam gdzie inni lekarze postawili fałszywą diagnozę i trzymali ją przez całą zimę w Meranie dla leczenia rzekomej choroby płuc.

Także i u mnie okazała się konieczność operacji. Po operacji zaś leżałem w pokoju, pławiąc się, po miesiącach samotności, w troskliwej czułości obydwu kobiet.

[33] Jedynactwo moje zabłysło zdwojonym blaskiem; nie we łzach się teraz kąpałem, jeno w bujnej radości.

I było mi dobrze jak nikomu na świecie.

Troska o „prawo zamieszkania” usunięta, w szkole grunt pod nogami wzmocniony, nos – operowany.

Ulica Be[e]thowena, przy której mieszkał Hajek i tych parę ulic drugiego obwodu, przez które przechodziłem codziennie, w drodze z pensjonatu do lekarza, pozostały w mej pamięci jako droga znaczone radosnym bólem – w nosie i gdzieś w gardle – bólem, za który okupywało się prawo do szczęśliwości i swobodnego oddechu.

Ale – –

„Ale” – a bez „ale” nie obeszło się u mnie nigdy – wśród dalekich białych obłoków na moim niebie ukazał się czarny punkcik, nasłany przez kruki, które krały nad moją głową jeszcze we wczesnym dzieciństwie...

Matka moja wyjechała do Karlsbadu, a ja z żoną do Ischlu, letniej rezydencji Franciszka Józefa¹¹⁵, dokąd Hajek skierował mnie po operacji.

W Ischlu pozostaliśmy zaledwie przez parę dni. Wysokie góry, okalające małą dolinę, działały na mnie przytłaczająco, stanowiąc zbyt silny kontrast z moim upodobaniem do szerokich horyzontów, na których opierało się moje umiłowanie morza i jego rozłogów.

Jeszcze jeden kaprys jedynaka, rozumiały dla tych, którzy zechcą mnie po żydowsku poczuć i po poetycku pojąć.

Wyjechaliśmy do Reinhalu. Następne dwa miesiące pozostały w mej pamięci jak cudowny sen, pełen czarownych obrazów dla oka.

Berchtesgaden, Königssee¹¹⁶ – nie chce mi się wierzyć dziś, że to było kiedykolwiek dla mnie realne.

¹¹⁵ Karlsbad (Karlovy Vary) – uzdrowisko w zach. Czechach. Bad Ischl – uzdrowisko w środkowej Austrii, odwiedzane przez cesarza Franciszka Józefa I.

¹¹⁶ Berchtesgaden – ośrodek turystyczny położony w Alpach Salzburskich w Bawarii. Königssee – jezioro w Bawarii, na południowy wschód od Monachium.

I tu następuje fatalne „ale”...

Słoneczny dzień. Spacerujemy we dwójkę na wysokim zboczach górskim, a przed nami – widzę to jak dziś przed oczyma – z jednej strony zielona część gęstego lasu, a z drugiej rzeka wijąca się w obramowaniu pól falujących w takt lekkiego wiatru. Zaś w serce przejęte niemym uniesieniem bliskością nieba i ziemi wrzyna się bolesne przeświadczenie:

– Nie powinniśmy pozostać razem. Zbyt różne są nasze charaktery...

I znowu jakieś łyzy jedynackie, wylane w ukryciu, przez nikogo nie widziane, nie odczute. I któż jest, który szarpie szponami splecione w [34] jedno – serca?

A może się sprawa ma inaczej? Może serca te nie są zrośnięte? Może łączy je tylko wspólna radość?... I któż jest kto radość tę depcze?

Nie „kto”, tylko „co”?

... O parę kroków pode mną zwrócona twarzą do cudownego krajobrazu i odwrócona do mnie plecami stoi Aniućka...

I mówi po raz któryś:

– Tak jest, musimy się rozejść.

Kłóciliśmy się wiele razy, i w zwierciadle około dwudziestu lat, które dzieli mnie od owego czasu, widzę teraz jasno:

Na dziesięć kłótni, stwierdzam obecnie moją winę – 9 razy.

9 razy jedynackiego despotyzmu.

9 razy żydowskiego braku wychowania; niedostrzegania drugiej osoby...

9 razy dzikich wybuchów.

9 raz zamiast względów i uwagi – „temperament”.

9 razy przesadnego bólu bez przyczyny.

9 razy rozpalonej fantazji i najdzikszej reakcji.

Ale

Raz j e d e n także ja byłem stroną cierpiącą, a o przyczynie mego cierpienia zaświadcza kiedyś zaufanemu oku karty mego ówczesnego dziennika.

Wobec czytelników n i n i e j s z y c h zwierzeń nie mam nic na moje usprawiedliwienie i chylę głowę przed jego wyrokiem.

Cięższej kary jak ta, którą wtedy już odcierpiało dwudziestoletnie moje serce pod tchnieniem lodowatych powiewów – nikt nie wymyśli.

A o ile grzeszę, tak mniemając, niechaj ochroni mnie ten, kto chroni zbłąkanych.

I jednaków...